



Kryminał z myszką

12

# DZIWNA SPRAWA

DR JERZY KOSTRZEWA  
PROWADZI ŚLEDZTWO

T a d e u s z  
K o s t e c k i

Tadeusz KostECKI

DZIWNA SPRAWA

Kryminał z myszką – Tom 12

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-45-8

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

## I

Zielony odbłask pełgał po malowanych w zygzaki ścianach. Trzasnęło sucho i mocno, aż jakaś szyba oddzwoniła nikłym echem. Piorun uderzył gdzieś blisko.

Z dworu dobiegło przeciągłe wycie.

– Duszno. – Referent śledczy Zaczek otarł grzbietem dłoni wilgotne czoło. – Co za sens rozpalać kotłownię w tak ciepły dzień? I do tego otworzyli kaloryfery na cały regulator. Upał jak w piekle.

– Powiedziałbym: tropikalny klimat – odezwał się porucznik Tomeczek; niekiedy używał zbyt wyszukanych określeń, może dla podkreślenia swych wyższych studiów. Do milicji wstąpił bezpośrednio po relogowaniu z czwartego roku uniwersytetu.

Zaczek sięgnął po chustkę, gdyż dłonią już nie zdołał osuszyć czoła wilgotniejącego coraz grubszymi kroplami potu.

– Tylko dziwak mógł pomalować gabinet w takie łamańce – powiedział.

– Są gusta i guściki.

Kapitan Sobecki podszedł ociężale ku oknu, patrząc w zamyśleniu na spływające wodą szyby. Miał w tej chwili dość niemądrą minę; im więcej rozmyślał o tej sprawie, tym mniej rozumiał.

Znów szarpiący nerwami odgłos wycia.

– Pies Baskerwilów – rzucił przez zęby.

Śmiech Tomeczka zabrzmiał nieszczerze.

– Nawet Conan Doyle nie kazał psu władać sztyletem.

– Zresztą, psiątko ma zbyt gruby kaliber, by przeleźć przez dziurkę od klucza – dodał Zaczek.

– Dziurka od klucza? – Sobecki powrócił ku pancernym drzwiom, przykajac końcem paznokcia w obramowanie wąskiego otworu patentowego zamka. – Dajcie mi choć normalną dziurkę od klucza, abym mógł na niej oprzeć dźwignię...

– Swobodna trawestacja z Archimedesesa – skomentował Tomeczek.

Zaczek łypnął niepewnie okiem.

– To... hm... Ten od jabłka?

Tomeczek spojrział z pobłażliwym współczuciem.

– Niezupełnie. Chociaż także zajmował się fizyką. Ale w nieco wcześniejszym okresie. Jakież tam kilkanaście wieków różnicy. Co to znaczy wobec wieczności?

Zaczek poczerwieniał. Rumieniec ten speszył go jeszcze bardziej. Jak sztubak. Po kiego licha w ogóle zabierał głos? Trzeba było udawać, że wie o kogo chodzi. Starął się mówić swobodnie:

– Ale co fizyka może mieć wspólnego z tą sprawą?

Sobecki wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Rzeczywiście, chyba nic. – Spojrział na zegarek. – Czemu u licha ten Baliński nie przychodzi? Bez niego utknęliśmy w martwym punkcie.

– Telefonował, że będzie najpóźniej o dziesiątej.

– Najpóźniej – rzucił sarkastycznie – a teraz dochodzi jedenasta.

Tomeczek ziewnął nerwowo.

– Nie przypuszczam, by jego obecność pomogła nam ruszyć z miejsca. Tu nie potrzeba lekarza, by widzieć co i jak. Śmiertelny cios sztyletem w plecy – ot i cała mądrość.

– Drobnostka. – Sobecki usiadł okrakiem na krześle. – Żeby jeszcze ustalić, kto zadał ten cios, w jaki sposób wszedł do tego gabinetu i jakim cudem go opuścił, mielibyśmy gotowe rozwiązanie.

Tomeczek długo wybierał papierosa nim wreszcie zapalił.

– Myślisz, że Baliński odpowie na te pytania?

– Może odpowie na inne. Ostatecznie nie po to bierze pensję, by zniknął kiedy jest potrzebny.

Burza przewaliła dalej. Teraz błyski fleszu były o wiele jaskrawsze od migotania coraz rzadszych błyskawic. Fotograf odsapnął, ładując starannie aparat do skórzanego futerału. Sięgnął po brezentowy płaszcz.

– Wieczorem odbitki będą gotowe.

Kapitan uśmiechnął się sceptycznie. Znał dobrze wartość podobnych obietnic. Westchnął z rezygnacją.

– Dawno już przestałem wierzyć w duchy. Ale jeśli nie dostarczycie zdjęć jutro do południa, obedrę was żywcem ze skóry.

– Będziecie je mieli, kapitanie, z samego rana.

– Warto wziąć szturmowe tempo. – Tomeczek strząsnął popiół tuż obok kryształowej popielniczki. – Ba... taka seryjka dla znawców. Można będzie wystawić w gablocie z napisem „Zbrodnia abstrakcyjna” i sprzedawać bilety wstępu. Wiercie mi na słowo: drzwiami i oknami...

– Zrobione. Zysk dzielimy na połowę – fotograf skinął ręką w pożegnalnym geście i wyszedł.

– Jak dostarczy odbitki na pojutrze wieczorem, też dobrze – kapitan nawet nie stłumił głosu, choć kroki odchodzącego słyhać było jeszcze całkiem wyraźnie. Był rozdrażniony.

– I co z tego? – mruknął Tomeczek. – Tak ci zależy na pośpiechu?

– Cholera wie, na czym mi zależy w tym bigosie. No, zreasumujmy to wszystko razem. Tomeczek ziewnął.

– Reasumujmy, skoro i tak nie ma nic innego do roboty.

– A więc – Sobiecki położył na kolanach otwarty notes, do którego zresztą wcale nie zaglądał. – Śmierć wskutek ciosu sztyletem w plecy...

Mimo woli rzucił okiem w kierunku skurczonej, leżącej na dywanie postaci mężczyzny. Żeberka kaloryferu, widniejące tuż za zwłokami, sprawiały wrażenie niesamowitego nagrobka.

– Prawdopodobnie ostrze sztyletu dotarło do serca.

– Prawdopodobnie – powtórzył jak echo Tomeczek – ale co z tego?

Kapitan ciągnął dalej: – Teraz teren zbrodni...

– Zbrodni? – Tomeczek podniósł wysoko brwi. – Przyhamuj trochę, szefie.

– Czy można popełnić samobójstwo, wbijając sobie sztylet w plecy? – wtrącił Zaczek. Tomeczek pokiwał pobłaźliwie głową.

– Gdybyś wiedział synu, w jak dziwaczny sposób ludzie niekiedy samowolnie rozstają się z tym światem.

– No więc, powiedzmy: teren... hm... akcji poprawił kapitan.

– To brzmi nieco lepiej.

– Drzwi obite stalową blachą. Patentowy zamek, klucz od wewnątrz. Oprócz tego rygle, do których nie ma żadnego dostępu od zewnętrznej strony – wyliczał pedantycznie. – Ani mowy, by je otworzyć. Musiano wycinać palnikiem otwór w drzwiach, żeby się dostać do środka.

– Słyszałem, że istnieją jakieś sposoby zasuwania rygli wewnętrznych – wtrącił Zaczek. Kapitan musnął go przelotnym spojrzeniem.

– Owszem, istnieją. Ale w naszym wypadku żaden z nich nie wchodzi w rachubę.

Drzwi są tak szczelnie dopasowane do futryny, że nawet pajęczej nici nikt by nie zdołał przeciągnąć... Tak... – zabębnił palcami po blacie biurka – to absolutnie odpada. Okno zamknięte. Automatyczny zatrzask. Ani mowy, by ktoś z zewnątrz potrafił go otworzyć. Stalowa krata system WOS, o tak małych otworach, że nawet ramienia nikt nie przecisnie.

Zaczek znowu uznał za konieczne wtrącić swoje trzy grosze:

– Nawet grubej laski.  
– Zgadza się – pokiwał głową kapitan. – Nawet grubej laski. Ale to i tak nie ma znaczenia, skoro żadna z szyb nie została wybita.  
Tomeczek postukał końcem paznokcia w szkło.  
– Ośmiomilimetrowa szyba – stwierdził z podziwem. – Kto wstawia do zwykłego okna ośmiomilimetrowe szkło?  
– To nie jest przewidziane w kodeksie karnym – rzucił niecierpliwie Sobecki.  
Opanował się i mruknął spokojniej. – Taka, czy inna, bez różnicy. Starczyłaby nawet najcieńsza. Faktem jest, że przez okno również nikt nie wszedł do gabinetu. Przez okno nie, przez drzwi nie. Więc którędy? Nie ma innych dróg połączenia ze światem zewnętrznym. Ani komina, ani nic...  
– Jakieś ukryte przejście – wygłosił triumfalnie Zaczek – bo inaczej...  
Tomeczek rzucił ironicznie:  
– „Krwawa zbrodnia w zamku, czyli siedem trupów w jednej wannie”. Zapadnie w podłogach, uskakujące kominki, i „tepe”. Ale nie te czasy, szanowny kolego.  
Tym razem ironia spieszyła referenta.  
– Jeśli nie jakieś przejście, to w takim razie co? – zapytał zaczepnie.  
– Oto jest pytanie.  
– Tak – kapitan powstał ociężale – ale jeśli chodzi o odpowiedź...  
Tomeczek ściągnął wargi, jakby zamierzał zagwizdać, powstrzymał się jednak.  
– Pozostaje tylko jedna – mruknął. – Skoro nikt nie mógł tu wejść, by zadać śmiertelny cios, denat musiał skutecznie to we własnym zakresie.

## II

Na okrągłej twarzy doktora Balińskiego widniał, zresztą jak zawsze, wyraz zadowolenia z samego siebie i z całego świata, jakby wskazówki zegara nie świadczyły, że spóźnił się o przeszło godzinę.

– Ach, nareszcie! Nasz szanowny eskulap – powitał go z nieukrywaną drwiną Sobecki.  
– Nie mogliście jeszcze później, doktorze?  
– Mogłem – stwierdził niewzruszenie – gdybym jeszcze trochę poczekał na samochód komendy. Ponieważ jednak w końcu postanowiłem skorzystać z komunikacji miejskiej...  
Sobecki odchrząknął.  
– Siedzimy tu jak na rozżarzonych węglach. – Zabrzmiało to jak przeprosiny.  
Doktor parsknął śmiechem.  
– Bardzo nieracjonalny sposób siedzenia. Szczególnie w lecie. No, dawajcie pacjenta. – Stojąc w progu, nie mógł dojrzeć trupa zasłoniętego wielkim biurkiem. – Chyba nie zdążył wyparować przez ten czas?  
Sobecki podprowadził go.  
– Wolałbym, żeby wyparował – mruknął przez zęby – jakaś całkiem dziwaczna historia.  
– Wszystkie okoliczności wskazują, że mamy tu do czynienia ze zwykłym samobójstwem – wyjaśnił Tomeczek.  
– Raczej z niezwykłym – Zaczek brał odwet za poprzednie ukłucia – bo jednak wpakować sobie sztylet w plecy...  
– Zobaczymy. – Doktor przyklęknął przy zwłokach, przystępując do przyjętych w tego rodzaju wypadkach czynności. Wykonywał je mechanicznie, z wprawą nabytą w ciągu kilkunastoletniej praktyki na stanowisku lekarza milicyjnego.  
– Powiadacie, kapitanie, że to dziwaczna historia? – rzucił przez ramię. – Prawdę powiedziawszy, nie widzę w niej nic dziwnego. Najzwyczajniejszy w świecie cios

sztyletem, którego ostrze prawdopodobnie przebiło lewą komorę sercową. Śmierć nastąpiła momentalnie, około sześciu do ośmiu godzin temu.

Sobecki westchnął.

– Najzwyczajniejszy cios? Ba...

– Zachodzi możliwość samobójstwa? – zapytał szybko Tomeczek.

– Wykluczone. Nikt nie potrafiłby zadać samemu sobie ciosu w ten sposób.

Porucznik spochmurniał.

– Na sto procent?

– Choćby nawet na sto dwadzieścia.

Z ust Zaczka wydostał się nieokreślony dźwięk, który miał być triumfalnym śmiechem. Od razu przecież twierdził, że to nie było samobójstwo. On jeden.

– Więc morderstwo? – zapytał zaskoczony Tomeczek.

– Bezwzględnie tak.

Doktor ujął przez chustkę rękojeść sztyletu i jednym szarpnięciem wyciągnął go z rany. Nie wypłynęła ani jedna kropelka krwi. Krwi było w ogóle zadziwiająco mało. Na dywanie ani śladu, tylko kilka plam na marynarce trupa, w bezpośredniej bliskości miejsca, w które uderzyło ostrze.

– Trójgraniasta klinga? – mruknął Tomeczek, patrząc na broń przymrużonymi oczyma.

– Więc cóż z tego? – kapitan porywczo wzruszył ramionami. – Bywają nawet zwykłe bagnety o tym kształcie ostrza. Nie to przecież jest w tym wszystkim niezwykle.

– Nie – potwierdził ponuro porucznik – ale za to reszta...

Doktor podał sztylet daktyloskopowi.

– W wasze godne ręce.

– Może jednak linie papilarne wskażą, że sztylet tkwił ostatnio w ręku zmarłego i wtedy... – Tomeczek uparcie powracał do swej pierwotnej koncepcji. W tych warunkach nie widział żadnej innej, którą by można przyjąć w zgodzie z rozsądkiem.

– Och... – doktor wycierał skrupulatnie ręce gazą zwilżoną spirytusem. Wyraz twarzy świadczył, że nawet wyniki stu ekspertyz daktyloskopijnych nie zmienią jego przekonania.

– Pobraliście już, magistrze, odciski palców? – zapytał kapitan.

– Oczywiście – Snarski nisko pochylił głowę nad rękojeścią broni. Licho wie, czy pytanie było tak niewinne... Zdarzył się kiedyś wypadek, gdy zaniedbał tę tak elementarną czynność, wskutek czego wynikły paskudne komplikacje. Nie lubił o tym wspominać.

– No i co? – Tomeczek zaglądał mu niecierpliwie przez ramię.

– Chwileczkę. – Snarski nacisnął gruszkę miniaturowego rozpylacza. Delikatny pył aluminium osiadł na lśniącej powierzchni, znacząc wyraźne smugi. Patrzył na nie w skupieniu. Nawet przed dokonaniem zdjęć mógł odpowiedzieć z zupełną pewnością.

– To nie są odciski palców zmarłego – orzekł bezapelacyjnie – zachodzi znaczna różnica w wiązaniu pętli papilarnych.

– A odciski palców zmarłego? Nie ma ich na rękojeści?

– Nie.

Tomeczek sęsępniał. – Cholera! Jednym słowem, morderstwo dokonane w warunkach, gdy biorąc na zdrowy rozum, nie mogło zostać popełnione!

Doktor spojrział z nieukrywanym zdumieniem.

– Dlaczego nie mogło?

– Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, w jaki sposób morderca wlaźł do pomieszczenia pozbawionego wejścia!

Baliński obejrzał opancerzone drzwi.

– Były zamknięte?

– Jak jasny gwint. Na wszystkie cztery spusty. Okno również. Poza tym brak w tym lokalu najmniejszego choćby otworu, przez który można by wetknąć nos, nie mówiąc już o wejściu. Licho wie, co takiego!

Zaczek potarł kark. Wydawało się, że go swędzi, ale to nie było swędzenie. Dziwne uczucie, którego nie potrafił określić.

– Morderstwo hermetyczne – powiedział cicho.

Sobecki wetknął ręce do kieszeni kurtki.

– Nie lubię mieć do czynienia z hermetycznymi zbrodniami.

– A kto lubi? – zapytał Tomeczek.

Doktor, zauważywszy błądź twarży referenta, podszedł ku niemu.

– Źle się czujecie?

– Nie... Czy ja wiem... Może trochę.

Porucznik odciągnął palcami kołnierzyk, jakby go nagle zaczął dusić.

– Nakopiliśmy tu jak w wędzarni. Nie ma czym oddychać.

– To fakt – skonstatował z ulgą Sobecki, zadowolony, że wreszcie znalazł przyczynę swego rozdrażnienia. Odsunawszy rygielki automatycznych zatrzasków otworzył okno na oścież, łąpczywie wdychając przesycone wilgocią powietrze; deszcz już przestał padać. Stał tak dość długo, w milczeniu. Znowu rozległo się przejmujące wycie psa.

– Aha – odwrócił głowę – do kompletu jeszcze dochodzi ten apokaliptyczny ludojad. Gdyby nie to, że był na łańcuchu, musielibyśmy chyba użyć czołgu dla przebycia ogrodu. Ale w nocy pies był spuszczoney...

Doktor podrapał się w podbródek.

– Krótko mówiąc, hermetyczność do kwadratu?

Sobecki dotknął palcem wiązań stalowej kraty, jakby chciał sprawdzić, czy nie była złudzeniem. Miał zmęczoną twarz.

– To już właściwie nie sprawia żadnej różnicy.

### III

Sobecki nie znosił schematów, ale w tym wypadku właśnie schemat stanowił jedyny ratunek przed przekroczeniem granicy, poza którą panowała niedorzeczność. Ekspertyzy, oględziny terenu i przedmiotów mogących mieć jakiś związek z przestępstwem, przesłuchiwanie świadków... Czynił to wszystko bez przekonania, automatycznie, nie potrafiąc wzbudzić w sobie wiary, że zdoła osiągnąć jakiś konkretny wynik. Chwilami ogarniało go przerażenie graniczące z zupełną prostracją. Normalne śledztwo ma doprowadzić do wykrycia sprawcy, ale to, które teraz prowadził, nie miało nic wspólnego z normalnym. Można komuś udowodnić, że zamordował uderzeniem sztyletu, ale udowodnić, że przeniknął poprzez ścianę lub pancerne drzwi, bądź wreszcie przez stalową kratę i ośmiomilimetrową szybę – to wykraczało poza sferę realności.

Czy można obalić przy pomocy najkosztowniejszych choćby rozumowań podstawowe prawa fizyki? Skoro w momencie popełnienia morderstwa nie istniała żadna możliwość przeniknięcia do pomieszczenia, w którym zostało ono dokonane, to znaczy, że nikt tutaj nie wszedł. Ale przecież, by morderca, ktoś musiał wejść! Jeśli nawet któryś ze świadków stwierdzi: „widziałem Iksa jak zadawał cios” – to Iksowi wystarczy odpowiedzieć pytaniem: „no dobrze, ale w jaki sposób tam wszedłem?” – i cała historia z miejsca bierze w łeb.

Właściwie koło zamykała ta jedna jedyna okoliczność i kapitan nie widział żadnego z niej wyjścia. Zagadnienie „jak” i „którędy” zawisło w próżni. Nie wyobrażał sobie możliwości przeniesienia tej sprawy w sferę rzeczywistości – i co gorzej, każde rozumowanie utwierdzało go w przekonaniu, że to nie należy w ogóle do rzeczy osiągalnych.

Jako bazę dla prowadzenia śledztwa obrał gabinet zamordowanego, choć bez porównania wygodniej pracowałoby się we własnym pokoju, w Komendzie Głównej. Ale przesłuchując świadków, czy badając odfitki linii papilarnych, czy wreszcie studiując z wymuszoną skrupulatnością protokoły oględzin, których ilość wzrastała z każdym dniem – wciąż wczuwał się w atmosferę tego dziwnego miejsca i szukał rozwiązania, które nie istniało. A przecież musiało istnieć!

Ogólnie tło nabierało coraz żywszych barw; zdarzenia, które nastąpiły po odkryciu morderstwa, konkretyzowały się coraz bardziej wyraziście. Ale wszystko, co się działo poza pancernymi drzwiami pomiędzy godziną dwunastą w nocy a szóstą rano, a więc do momentu wycięcia zamka przez sprowadzonego mechanika i wtargnięcia do wnętrza gabinetu kilku osób stanowiących zbyt liczną grupę, by można dopuścić możliwość zmywy w zeznaniach, wciąż pozostawało w sferze nieuchwytej i abstrakcyjnej. Jedyne realne dowody stanowił trup ze sztyletem wbitym w plecy; sztyletem, który, jak to było do przewidzenia, przebił lewą komorę serca, powodując natychmiastową śmierć.

Narzędzie mordu nie należało do przedmiotów, które można nabyć w pierwszym lepszym sklepie. Niesposób nawet ustalić, skąd pochodziło. Żaden z domowników nigdy go przedtem nie widział. Przynajmniej tak twierdzili i nie istniała możliwość sprawdzenia, czy słowa ich odpowiadają prawdzie. Nie podlegało jednak dyskusji, że gdyby ktoś widział ten sztylet choćby przelotnie, nie mógłby zapomnieć o jego istnieniu, ani o wyglądzie.

Broń ta stanowczo nie należała do przedmiotów tuzinkowych i powszednich, pozwalających na obojętne spojrzenie nie pozostawiające śladu w pamięci. Trójgraniasta klinga z oksydowanej stali, o długości dokładnie dwudziestu siedmiu centymetrów, miała już w swym wyglądzie coś drapieżnego i okrutnego. Stalowe kanty na bokach były zupełnie tępe i gładkie, ostry był tylko stożkowaty szpic. Ten przedmiot nadawał się tylko do zabijania, ale nie do przecinania kartek książki, czy strugania ołówków; nie mogło być mowy o żadnych niewinnych czynnościach. To ostrze miało zupełnie jednoznaczne przeznaczenie.

Rękojeść gładka, wykonana z masy plastycznej, pozbawiona jakichkolwiek ozdób czy ornamentacji – w odróżnieniu od klingi, posiadała idealnie okrągły kształt. Ostrze było znacznie cięższe od rękojeści i środek ciężkości bynajmniej nie leżał u ich styku, jak to przeważnie bywa. Należało ująć sztylet mniej więcej na jednej trzeciej długości klingi, by uzyskać równowagę. Porucznik Siemaszko, ekspert Komendy Głównej w dziedzinie wszystkich narzędzi, którymi można pozbawiać życia – obmacywał sztylet ze wszystkich stron, wyważał go tak i owak – i coraz mocniej marszczył brwi.

– To jest cięższe od stali – przytknął wreszcie paznokciem w klingę, która oddzwoniła nadpękniętym dźwiękiem.

Kapitan podniósł powoli oczy.

– Przecież jest ze stali – zauważył matowym, niemal bezdźwięcznym głosem. Jedna niezrozumiała rzecz więcej, czy jedna mniej, właściwie w tym układzie niewiadomych nie zmieniała równania.

– W środku musi być coś cięższego – Siemaszko wciąż trzymał ostrze na sztywno wyprostowanym palcu. – Ołów, albo raczej rtęć. Tak – wyważał jeszcze raz – dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że właśnie rtęć.

Kapitan przesunął ręką po czole. Czuł na twarzy dotyk nieistniejącej pajęczyny. Samopoczucie gorzej niż podłe, zmęczenie rosło z każdą chwilą. Nie wierzył w oddziaływanie otoczenia na psychikę, szczególnie, jeżeli chodziło o miejsce gdzie popełniono zbrodnię, tu jednak...

– Czy tego rodzaju obciążanie sztyletowych kling jest często stosowane?

Siemaszko odłożył ostrożnie broń na biurko, po czym ujął ją ponownie. – Jeżeli chodzi o sztylety... Bo w szablach, mieczach i wszystkim tym, co służy do rąbania na odlew, to



owszem... ale tym przecież nie można rąbać... – miał taki wyraz twarzy, jakby był niezadowolony, że sztylet nie nadaje się do tego celu.

– Czy obciążenie w czymkolwiek ułatwia cios?

Siemaszko ujął rękojeść, pchnął w powietrze, potem jeszcze raz.

– Wręcz przeciwnie – zawyrokował, wzruszając ramionami – trudno sobie wyobrazić bardziej nieporęczną broń. I do tego ta śliska rękojeść...

Gładził w zamyśleniu lśniąca powierzchnię masy plastycznej.

Sobecki błdził oczyma po suficie. Co za sens konstruować sztylet w sposób utrudniający jego użycie? Po chwili zapytał o to. Siemaszko długo milczał.

– Licho wie – burknął wreszcie – ja w każdym razie tego nie rozumiem.

– Opiszcie to wszystko dokładnie.

– Jasne. Ale co to właściwie da?

– Chyba nic. Trzeba jednak coś zrobić.

#### IV

Zamordowany nie zawsze nosił nazwisko „Rudziński”. Przez trzydzieści lat brzmiało ono znacznie krócej: po prostu „Rudy”. Z jakiego powodu dwanaście lat temu wystąpił o zmianę nazwiska – tego nie udało się stwierdzić. Jego żona w ogóle nie podejrzewała, że kiedykolwiek nazywał się inaczej. Wyszła za mąż za Klemensa Rudzińskiego. Czy mogła przypuszczać, że kiedyś nawet jego imię brzmiało „Konstanty”? Nikt jej o tym nie wspominał. On sam także nie.

Okazała więc niepomierne zdumienie, gdy Sobecki naprowadził na tę kwestię. Czy było szczerze, tego nie wiedział. Niesposób zajrzeć do cudzego mózgu. Przystojna, pulchna blondynka, znacznie młodsza od męża, nie sprawiała wrażenia zbyt wstrząśniętej tragedią. W każdym razie zachowanie jej było o wiele swobodniejsze, niż można by w tego rodzaju sytuacji oczekiwać. Chwilami wprost zaskakiwało, budząc uczucie niesmaku, choć praktyka kryminalna przyzwyczaiła Sobeckiego do obcowania z różnymi typami ludzi. Ale żeby zaledwie w kilkanaście godzin po tragicznej śmierci towarzysza życiowej wędrowni, pamiętać o nienagannym *maquillagu* – to przekraczało granice elementarnej przyzwoitości.

W tym stadle nie mogło być chyba mowy o miłości, przynajmniej z jej strony. Zresztą nie siliła się bynajmniej na odgrywanie scen rozpacz. Nawet słowa „okropne nieszczęście” brzmiały w jej ustach jakoś zdawkowo i chłodno, jakby dotyczyły zdarzenia nader odległego i niezwiązanego z osobistym jej życiem. W czasie składania zeznań kilkakrotnie podkreślała dzielącą ich różnicę wieku, oświadczając w pewnej chwili z żenującą swobodą:

– Cóż... w ostatnich czasach żyliśmy raczej obok siebie niż ze sobą. Był do tego stopnia zaabsorbowany swoją pracą, że niekiedy nie widywaliśmy się całymi dniami. Powracał zaś do domu tak zmęczony i śpiący... Prócz tego, nie był zupełnie zdrow... Skarżył się na serce. Może to zresztą należało do objawów nerwicowych? Nerwy... tak... Okazywał wprost nienormalną pobudliwość... najbliższa przyczyna potrafiła go doprowadzić do wybuchu. Owszem, wspominał coś o tym, że prowadzi kurację. Ale u jakiego lekarza zasięgał porady i co powiedział ten lekarz o jego chorobie... – wzruszyła bezradnie ramionami.

Rozmawiali o tym raczej ogólnikowo. W każdym razie była niespokojna o męża, ale ton i wyraz twarzy wskazywał, że ten niepokój nie mącił jej snu. Właśnie dlatego, gdy nie odpowiadał na pukanie służącej, która przyniosła mu, jak zwykle, śniadanie... Tak... każdego powszedniego dnia jadł śniadanie kwadrans po piątej, a pół do szóstej wyjeżdżał do pracy.

– Bo w warsztacie – ciągnęła – zaczynali o szóstej, a jeśli nie przypilnować pracowników... Sam pan wie, jacy są teraz ludzie... Aby tylko zbyć. Skarb Państwa może sobie pozwolić na dokładanie, ale prywatne przedsiębiorstwo... I te podatki... Mąż

wprawdzie specjalnie nie narzekał na interesy, szczególnie w ostatnim roku, ale łatwo mu nie szło...

Służąca obudziła ją – „nie daj Boże, pan zasnął, czy co”. Łomotano długi czas do drzwi. Nie, nikt nie zaglądał przez okno. Chyba nie było zasłonięte, jednak pierwsze piętro... Owszem, ogrodnik posiada jakąś drabinę i jeśliby komuś przyszło na myśl z niej skorzystać... ale wtedy wszyscy jakoś potracili głowy. Zresztą już sam fakt, że nie odpowiadał na pukanie, świadczył, że coś jest nie w porządku. Nie, oczywiście nikt nie oczekiwał takiego nieszczęścia, ale w każdym razie zanosilo się na coś złego.

O otworzeniu drzwi nie było co marzyć. Zupełnie jak kasa pancerna. Wtedy Józef sprowadził mechanika, który przeciął stal palnikiem, Poszedł po niego z własnej inicjatywy. Ona była zupełnie bezradna. Powiedziała tylko: „trzeba coś zrobić” – ale zupełnie nie wiedziała co mianowicie. Gdy wreszcie można było wejść do środka...

Teraz spod różu na policzkach wyrzała nagła bledność.

– No... sam pan wie, jak tam było. Nikt niczego nie dotykał. W pierwszej chwili przypuszczałam, że to zwykłe omdlenie, potem jednak ten sztylet i... krew...

– Nie było zbyt wiele krwi – zauważył Sobecki.

– Nie, ale przecież była. A ja nie mogę patrzeć na krew. Nawet zwykłe zacięcie palca... Prawie straciłam przytomność. W uszach szum i wszystko jak w wacie. W każdym razie jakoś zdołałam wyjść o własnych siłach... może zresztą ktoś mnie podtrzymawał, tego nie wiem. Ale ledwo dobrnęłam do swego pokoju... zaraz na łóżko, jak nieżywa.

– Nie, nie zdaję sobie sprawy, kto panów zawiadomił i co w ogóle wtedy się działo. Dopiero znacznie później zdołałam jakoś zebrać myśli. Józef będzie mógł panu wszystko dokładnie opowiedzieć. On z całą pewnością nie zasnął... To wprost kamienny człowiek. Nic go nie jest w stanie wzruszyć. Nie, nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu ogrodnikiem, choć ogródkiem również się zajmuje. To jednak stanowi tylko drobną cząstkę jego obowiązków. Bo i opieka nad samochodem... Mąż zawsze sam prowadził wóz, ale nie znosił brudnej roboty przy motorze. A przecież, gdy chodziło o mycie, czy jakieś drobne naprawy... Wóz mamy dopiero od niedawna i jeszcze nigdy żadnej poważniejszej awarii... Jednak z samochodami to już zawsze tak, że od czasu do czasu trzeba pogmerać we wnętrzu. Nie znam się zupełnie na tym i nawet nie umiałam prowadzić, choć mąż usiłował mnie uczyć. Ale nic z tego nie wyszło. W końcu machnął ręką, orzekając, że mam widocznie wrodzony antytalent do kierownicy. No więc wszystko co trzeba było robić przy wozie spadało właśnie na Józefa. Muszę przyznać, że jest dobrym fachowcem i potrafi wyregulować motor, wóz chodził jak zegarek. Mąż był z Józefa bardzo zadowolony. Nie tylko zresztą jako mechanika. W ogóle Józef jest bardzo pracowity.

– Czy on zajmuje się psem?

– Och... nikt inny nie dałby rady. To zupełnie wściekła bestia. Nikogo właściwie nie uznaje poza nim. Na mnie wyszczerza kły, a mąż do niego nie podchodził. Twierdził, że tylko taki pies, który słucha jednego jedyne go człowieka, stanowi pewną obronę.

– Obronę? Przed czym? – zapytał łagodnie Sobecki. Cel przekształcenia tej luksusowej willi w warowną fortecę intrygował go od pierwszej chwili. Poza trzema dość wartościowymi obrazami wiszącymi w gabinecie, nie znaleziono tu żadnych skarbów, które usprawiedliwiałyby tak niezwykle ostrożność.

– No – krótka chwila wahania – oczywiście, przed włamywaczami. Tyle się tutaj słyszy ostatnio o najrozmaitszych napadach...

Sobecki popatrzył w ciemny kąt pokoju. Ostatnio? W tej właśnie dzielnicy stan bezpieczeństwa raczej nie powinien wzbudzać obaw. Od dłuższego czasu nie zanotowano żadnych przestępstw.

– Hm...

Zerknęła na niego ukradkiem.

– Może zresztą był przewrażliwiony na tym punkcie – dorzuciła szybko. – Niekiedy zdarzało się, że budził w nocy Józefa i kazał mu przeszukiwać ogród, choć przecież w czasie, gdy pies był spuszczone z łańcucha, wykluczone, by ktoś obcy mógł przebywać niepostrzeżenie wewnątrz ogrodzenia. W ogóle nie mógłby przebywać... To po prostu zagrażałoby jego życiu... Bo nasz Tygrys...

Sobecki pokiwał głową. Człowiek napadnięty przez tego brytana miałby niewątpliwie minimalne szanse wyjścia cało...

– ...I to właśnie „przewrażliwienie” stanowiło powód zainstalowania drzwi pancernych i innych urządzeń zabezpieczających?

– Tak, to jest... przypuszczam, że tak. Mąż nigdy nie miał zwyczaju omawiania ze mną swych posunięć ani tłumaczenia ich przyczyny czy celu. Może zresztą chodziło o jakieś całkiem konkretne niebezpieczeństwo. Nie wiem – rozłożyła bezradnie ręce – może... Gdy kupiliśmy willę, nie było w niej pancernych drzwi...

– A krata w oknie?

– Owszem, ale zupełnie inna. Taka jak wszędzie używają, o szerokich oczkach. A ta...

– Zaraz po kupnie kazał to wszystko założyć?

– Tak. Nawet wstrzymał przeprowadzkę i czekał aż te roboty będą ukończone. Sam nadzorował.

– Kiedy to się działo?

– Około sześciu lat temu.

– Nie dziwiło pani, że przekształca swój gabinet w rodzaj pancernej kasy?

Lekkie westchnienie wypłynęło z jej umalowanych warg. – Dużo rzeczy mnie dziwiło. Ale wtedy już nie pytałam. Byliśmy trzy lata po ślubie. Na początku próbowałam zadawać pytania. Potem nie. Zdołał mnie od tego odzwyczaić. Potrafił niekiedy być bardzo... szorstki.

– Czy właśnie wtedy, gdy zdradzała pani ciekawość?

– Tak... Zresztą nie tylko. Często bywał rozdrażniony. Z jego nerwami nie było w porządku od chwili, gdy go poznałam. Tylko, że potrafił to jakoś ukrywać. Bo inaczej... – Milczała dłuższą chwilę, czekając na dalsze pytania.

– Czy pies pochodzi właśnie z tego okresu?

– Ten pies nie. Mieliśmy na początku innego. Potem mąż go oddał, twierdząc, że jest zbyt łagodny, chociaż nie był wcale łagodny. Pogryzł jednego chłopaka tak dotkliwie, że musieliśmy rodzicom zapłacić spore odszkodowanie, bo grozili podaniem do sądu. Ale w porównaniu z Tygrysem...

– W poprzednim mieszkaniu stosował również podobne środki ostrożności?

– Do pewnego stopnia, ale przecież nie do tego jak tutaj. Mieszkaliśmy zresztą w cudzym domu, więc sam pan rozumie, że to było niemożliwe. Żaden właściciel nie udzieliłby zgody na takie przeróbki. W każdym razie sztaby na drzwiach...

– Wejściowych?

– Nie. To wszystko dotyczyło tylko jego gabinetu. Pomimo, że na trzecim piętrze kazał założyć okiennice.

– Znowu tylko w swoim pokoju?

– Tylko. Wychodząc zawsze zamykał drzwi na klucz i klucz zabierał ze sobą.

– A sprzątanie?

– Wyłącznie w jego obecności. Ani mowy, by ktoś wszedł, kiedy go nie było. Mieliśmy wtedy również psa. Mniejszy od Tygrysa i od tego, co był poprzednio tutaj. Ale tak samo zły.

– Trzymał go w swoim pokoju?

– Skądże. To było nie do pomyślenia. Często przebywał poza domem przez wiele godzin i jak już wspomniałam, pokój wtedy był zamknięty. Paskudne psisko. Zatrzuwał życie wszystkim. Mnie w każdym razie... Trzeba było przez cały czas wystrzegać się jakichś

gwałtowniejszych ruchów, bo mógł chwycić zębami. Wiele razy prosiłam męża, żeby go oddał, ale nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Oddał go dopiero, gdy nabyliście państwo tę willę?

– Wcale go nie oddawał. Pies zdechł jeszcze w tamtym mieszkaniu. Struł się czymś.

– Skąd pani wie?

– Mąż kazał przeprowadzić sekcję. Znaleziono w żołądku psa arszenik, czy coś w tym rodzaju.

– Arszenik? – zapytał szybko Sobecki.

– Tak. Ale wtedy akurat malowano kaloryfery i podobno w farbie... Może zresztą poczęstowała go służąca, która wprost nienawidziła tego psa. Nie miałabym jej tego prawdę mówiąc, za złe...

– Ta sama służąca, która pracuje u państwa teraz?

– Gdzież tam. Oddalił ją z miejsca. Groził nawet milicją, choć nie miał żadnych dowodów, że to ona. Bo przecież ta farba...

Przesłuchanie trwało jeszcze długo. Ten świadek miał chyba najwięcej do powiedzenia, przynajmniej, jeżeli chodziło o ogólne tło, a kto wie, czy nie właśnie w nim należało szukać przyczyny tego wszystkiego, co zaszło w tym domu. Tymczasem nie widział żadnego innego wyjścia, żadnej drogi.

Protokół pęczniał imponująco. Coraz to nowa stronica czerniała drobnym maczkiem wyraźnego pisma. Było tego sporo, ale jeżeli chodziło o konkrety, które miałyby poważniejsze znaczenie...

Z kolei przystąpił do drobiazgowego odtwarzania zdarzeń zaszłych bezpośrednio przed krytyczną nocą.

– Mąż powrócił około dziewiątej wieczorem. Na obiad nie przychodził. Nie widziałam go cały dzień... Czekał tu na niego pan Bolesław Rolski – adres podała bez wahania: Kraków, Staromiejska osiem. – Tylko, że on bardzo rzadko przebywa w swoim mieszkaniu. Jeździ po całym kraju, skupując jakiś surowiec. Nie wiem dokładnie jaki. Łączą go wspólne interesy z mężem... To jest... chciałam powiedzieć „łączyły”. Nie wiem, czy ma udział w warsztacie męża. Mąż mi o tym nie wspominał. W każdym razie koncesja opiewa wyłącznie na nazwisko męża. Ale niekiedy dokonywali rozliczeń i przekazywali sobie pewne kwoty. Nie potrafię powiedzieć, czego dotyczyły te rozliczenia. Nigdy mnie w to nie wtajemniczali... W ogóle pozostawałam poza kręgiem interesów. Mąż zawsze twierdził, że są to wyłącznie męskie sprawy... Gdy tego wieczoru powrócił do domu, był bardzo zmęczony i zdenerwowany. Może jeszcze bardziej, niż zawsze. Pan Rolski czekał na niego przeszło godzinę. Miał pilną sprawę...

Sobecki podniósł głowę. Pilna sprawa, po omówieniu której nastąpiło morderstwo? To mogło być ciekawe.

– O co chodziło? – zapytał szybko.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie poruszali tego przy mnie. Dopiero po kolacji... Mąż dał mi do zrozumienia, że pragnie porozmawiać z Rolskim w cztery oczy.

– Dał do zrozumienia?

Długa pauza, w czasie której żaloszny uśmiech błąkał się po jej wargach.

– Och... on mi to powiedział wprost. Bywał niekiedy bardzo... bezpośredni. To mogło nawet sprawiać wrażenie brutalności na kimś, kto nie był przyzwyczajony do jego sposobu bycia. Wycofałam się więc do swego pokoju, a oni...

– Nie słyszała pani nic z ich rozmowy?

– Nie.

– Może jakieś podniesione głosy, albo coś w tym rodzaju?

– To było niemożliwe, choćby nawet krzyczeli. Mój pokój jest na piętrze, jadalnia zaś na parterze.

– Rozmowa trwała długo?

– Nie wychodziłam już ze swego pokoju. Ale około pół do jedenastej Rolski odjechał. Słyszając warkot jego samochodu spojrzałam na zegarek.

Sobecki usunął włoszek z końca stalówki wiecznego pióra. Wpół do jedenastej. Śmierć zaś nastąpiła, według orzeczenia lekarskiego, pomiędzy dwunastą a drugą. Jaki związek tych odwiedzin ze zbrodnią? Zapytał na wszelki wypadek: – Czy rozmowa miała miejsce w gabinecie pani męża?

Potrząsnęła energicznie głową.

– Mąż nie znosił, gdy ktoś wchodził do gabinetu. Jestem pewna, że pozostali do samego końca w stołowym. Barbara zresztą potem mówiła...

– Barbara?

– To nasza służąca.

– Aha...

Zeznania Barbary nie wniosły właściwie nic nowego. Wielki, pękaty babsztyl o ponurej twarzy, patrzący spode łba.

... Tak, panowie przez cały czas siedzieli w stołowym, a później pan dyrektor Rolski odjechał swoim samochodem. Nie wie o czym rozmawiali... Nie słyszała ani słowa. Pan kazał podać czarną kawę i potem nie miała już po co wchodzić do stołowego. Pan okropnie nie znosił, gdy mu przeszkadzano. Chyba było przed jedenastą, gdy pan dyrektor Rolski wyjechał. Nie wie dokładnie, bo nie patrzyła na zegarek. Nieboszczyk pan długo jeszcze pozostawał w stołowym. Słysząc było, że spacerował dookoła stołu, potem siadał, potem znowu chodził. On często tak. Ale tego wieczoru był taki jakiś... No, zdenerwowany, czy jak. Wyglądało jakby coś nie poszło po jego myśli. Zasnęła prawie o północy, pan jeszcze wtedy hałasował na górze. W jej pokoiku słysząc dokładnie wszystko co się dzieje na górze. Szczególnie w stołowym, bo to akurat nad kuchnią, a ona śpi tuż obok.

Józef spuścił psa, zaraz po zamknięciu bramy za samochodem pana dyrektora Rolskiego. Słyszała przed zaśnięciem jak Tygrys biegał dookoła domu i ujadał. Po przebudzeniu, a było to o pół do szóstej rano, psa jeszcze nie wzięto na łańcuch... Nie, z całą pewnością nikt do domu nie wchodził po odjeździe dyrektora Rolskiego. Gdy pies jest w ogrodzie... – dalsze słowa zastąpił wymowny gest.

Nie, nie pytała Józefa, czy brał w nocy psa na łańcuch, ale chyba nie, bo przecież by jej powiedział... Pracuje tu więcej niż dwa lata. – Czy zauważyła jakieś dziwne rzeczy? Och, całą masę. Tu w ogóle wszystko jest dziwne. Choćby ten gabinet nieboszczyka pana, obwarowany niczym skarbiec, i ten wściekły brytan, gotów człowieka rozszarpać na strzępy. A pan to potrafił niekiedy tak patrzeć, jakby podejrzewał Bóg wie co... Nie, ani się nawet domyśla o co mogłoby mu chodzić. Ale tak jakoś... Parę razy to nawet zamierzała odejść. No, bo to wszystko razem... Ale podnieśli jej pensję, bo pan nie chciał, żeby przyszedł ktoś nowy. A że jedzenia też nie skąpią... Teraz nie tak łatwo o dom, gdzie każdego grosza nie biorą pod światło...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI